NR. 18 NIEDZIELA, 6 GRUDNIA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL dzieci

Pod redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

Trzeba ciepłych serc...



Powiał ostry wiatr.
Ścisnął srogi mróz.
Upadł gęsty śnieg —
Zima, zima już!

Jeży z trwogi sierść
polny, leśny zwierz,
a i biedny człek
zadrżał z lęku też.

Idzie długa noc,
wiedzie z sobą chłód.
Budzi myśli złe
dokuczliwy głód.

Dużo trzeba tu
przyjacielskich rąk,
dużo ciepłych serc,
aby ulżyć mąk —

tym, co jest im źle
w bezrobotny czas.

. . . .

Niech w pomocy tej
nie zabraknie nas!

O lepsze jutro...

Nie jest na świecie dobrze...

Wśród was i wokoło was jest bardzo dużo dzieci głodnych, bezdomnych i chorych.

Wśród was i wokoło was jest bardzo dużo sierot, dzieci bez opieki, zapomnianych, pozbawionych szkoły i nauki.

Wśród was i wokoło was jest bardzo dużo dzieci, dla których słońce nigdy nie świeci, na twarzyczkach których widnieje zawsze smutek.

Nie jest na świecie dobrze...

Rodzice wasi nie mają pracy, nie mogą was nakarmić i przyodziać.

Rodzice wasi nie mają pieniędzy, nie mogą ogrzać waszych ciasnych, niskich, ciemnych i wilgotnych mieszkań.

Rodzice wasi nie mają pracy, nie mają pieniędzy, nie mogą posyłać was do szkoły, wychować na dzielnych i szczęśliwych ludzi.

A jednak jest na świecie dużo zboża, dużo chleba, niema go tylko dla biednych.

A jednak jest na świecie dużo ludzi, którzy opływają w dostatkach, mają za dużo.

Nie jest na świecie dobrze...

Nie jest na świecie sprawiedliwie...

Prawda!

Ale jak walczyć z tem złem?.. z niesprawiedliwością?.. z wyzyskiem?... z głodem i nędzą?

Świat dzisiejszy jest zły, trzeba go przebudować, trzeba go zmienić na lepszy, trzeba:

aby każdy miał pracę,

aby nie było głodnych, bezdomnych i bez opieki,

aby w każdem mieszkaniu płonął ogień,

aby wszystkie dzieci mogły uczyć się,

aby dziecko nie potrzebowało pracować na kawałek chleba,

aby nie było bogatych i biednych,

aby jeden człowiek nie wyzyskiwał drugiego,

aby każdy po pracy miał chwilę odpoczynku i godziwą rozrywkę,

aby wśród ludzi na świecie zapanowała miłość i braterstwo.

Walczyć ze złem, z niesprawiedliwością muszą wszyscy, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, gdyż tylko złączeni razem i wspólnemi siłami możemy zmienić świat na lepszy.

Wspólny wysiłek da nam zwycięstwo, wspólnej sile nic się nie oprze.

I wy — dzieci — powinniście łączyć się w gromady i razem ze starszemi walczyć o pracę dla wszystkich, o chleb dla wszystkich, o lepsze jutro.

A tymczasem, nie zapominajcie o głodnych, małych, nieznanych wam braciszkach.

Spieszcie im z pomocą.

BEZDOMNY

...Albo odnajdę babkę, albo zginę: nic mi nie pozostało innego.

Wstałem i zacząłem iść przed siebie szybko. Wiedziałem, iż byłem na drodze do Duwru, gdyż w ciągu dni ostatnich zbadałem tę sprawę, ale nie miałem jasnego pojęcia o długości podróży. Szedłem pośpiesznie, póki mi sił nie zabrakło, a wtedy prawie upadłem na ziemię.

Byłem głodny i wyczerpany, w kieszeni miałem tylko dwa półpensy, więc chyba umrę z głodu.

I widziałem się w wyobraźni umarłym, leżącym na drodze pod płotem.

Przeląkłem się tego obrazu i otworzyłem oczy. Nie chcę na drodze umrzeć. Można się przecież ratować.

W ostatnim roku nabyłem dużo doświadczenia i teraz przyszło mi na myśl, że mogę sprzedać kamizelkę, a za te pieniądze może się wyżywię przez drogę.

Zdjąłem ją natychmiast, zwinąłem i, trzymając w ręku, zacząłem się oglądać, czy nie zobaczę sklepu ze staremi rzeczami. Nie szukałem długo. Na progu lichej nory, zawieszonej używaną garderobą siedział właściciel i palił fajeczkę.

Zbliżyłem się do niego.

— Może pan kupi moją kamizelkę — rzekłem, podając zawiniątko.

Cofnął się do sklepu, fajkę położył na półce, a ponieważ zmrok już zapadał, zapalił aż dwie świece i zaczął przy świetle bardzo uważnie przypatrywać się podanej części garderoby.

— Cóż chcesz za to? — zapytał wreszcie.

— Pan lepiej wie, ile warta — odpowiedziałem skromnie.

— To nie należy do mnie — odparł obojętnie — mów, ile żądasz.

— Osiemnaście pensów — odpowiedziałem po chwili wahania.

— Skrzywdziłbym żonę i dzieci, gdybym zapłacił za to więcej niż dziewięć pensów — zauważył.

Nie mogłem żądać przecie, aby krzywdził żonę i dzieci, więc pośpiesznie zgodziłem się na dziewięć pensów.

Spojrzał na mnie, wyjął z kieszeni pieniądze i podał mi je, mrucząc.

Życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem.

Kupiłem kawałek chleba i puściłem się w dalszą drogę. Przewidywałem, że po kamizelce będę musiał sprzedać i kurtkę, ale tymczasem była jeszcze na mnie, zapiąłem ją starannie na wszystkie guziki i zacząłem rozmyślać o noclegu.

Przedewszystkiem musiał być tani, potem nie bardzo daleko, bo już się ściemniło na dobre, a nakoniec marzyłem, żeby się do czegoś przytulić.

Wtem przyszło mi do głowy, żeby dojść do Salem - Huse, gdzie tuż za płotem stał zawsze stóg siana. Zdawało mi się, że będę tam jakby u siebie, tak blisko chłopców, na miękkim posłaniu, w miejscu dobrze mi znanem.

Ożywiony tą nadzieją, szedłem raźniej naprzód, chociaż byłem bardzo zmęczony i bałem się chwilami, że nie trafię. Rzeczywiście było już późno, gdy rozpoznałem dobrze mi znany budynek.

Przystanąłem tak mocno wzruszony, że na chwilę zapomniałem o zmęczeniu. Zwolna bardzo zwolna obszedłem go dokoła, patrząc w czarne, zamknięte okna, które przypominały mi tak wiele. Każde prawie mówiło do mnie: czy pamiętasz? Tam spali chłopcy spokojnie, na łóżkach, a ja?...

Doszedłem do stogu i położyłem się wreszcie na ścianie. Mimo zmęczenia usnąć nie mogłem odrazu i nigdy nie zapomnę uroczystego uczucia, jakiego tu doznałem tej pierwszej nocy bez dachu, samotny pośród ciemności i ciszy.

(Karol Dickens.
„Dawid Copperfield").

Pojednanie



Uczyli się w jednej sali szkolnej: jedni przed południem, drudzy po południu. Ale mimo to nie żyli z sobą w zgodzie. Współżycie i współpracę utrudniały im częste, drobne nieporozumienia i zatargi międzyklasowe, o kredę, o atrament, o zbity kałamarz, o poplamioną ścianę i t. p. i t. d.

Jedni o drugich wyrażali się prawie zawsze z lekceważeniem:

— Eee!.. popołudniaki.

— Eee!.. przedpołudniaki.

Zapytaliście kiedykolwiek „przedpołudniaków" o to np. kto porysował ławkę, odpowiadali zawsze:

— To nie my! To oni — popołudniaki.

Zapytaliście o to samo „popołudniaków" odpowiadali kategorycznie i jednogłośnie:

— To nie my! To oni — przedpołudniaki.

I tak zawsze, i tak każdego dnia.

Aż oto dziś stało się coś niezwykłego, coś, co zadziwiło wszystkich: przedpołudniaków i popołudniaków.

Kazik „Przedpołudniak" i Romek „Popołudniak", porozumiawszy się z sobą, zaprosili wszystkich przedpołudniaków i popołudniaków na wspólne zebranie.

Na co i po co?

O tem nikt nie wiedział, z wyjątkiem Kazika i Romka, lecz ci pytani, tajemniczo uśmiechali się i nie udzielali żadnych wyjaśnień.

Wreszcie zebrali się wszyscy. Wśród ogólnego zainteresowania zabiera głos Romek:

—Koledzy! Pomiędzy nami a wami wynikają prawie codziennie jakieś drobne nieporozumienia. Chodzimy wszyscy do jednej szkoły, do jednej klasy, nie po to, by kłócić się, ale pracować, uczyć się.

Nie jest to nasza wina, że musimy chodzić do szkoły popołudniowej, że dla nas niema miejsca w rannych szkołach, że wzajemnie przeszkadzamy sobie w pracy. Zorganizujmy nasze życie szkolne tak, by wszyscy byli zadowoleni. Niechaj nie będzie już więcej między nami nieporozumień, boć wszyscy jesteśmy kolegami. Bawmy się razem i pracujmy razem.

A na to Kazik:

— O ile chcemy wyrosnąć na dzielnych ludzi, to już teraz musimy odpowiednio postępować. Niechaj każdy z nas czyniąc cokolwiek zastanowi się nad tem dobrze, bo czyn jego może wywołać niezadowolenie wśród kolegów.

Czyńmy dobrze nie dla siebie, ale przedewszystkiem dla innych, dla kolegów.

— Musimy — zabrał głos Tadzik — złączyć się razem i wspólnemi siłami dążyć do takiego ułożenia naszego życia szkolnego, by nie było wśród nas niezadowolonych i pokrzywdzonych, by każdy mógł wypełnić swoje obowiązki.

Wybierzmy z porśód siebie trzech kolegów, którzy będą rozstrzygali wszelkie spory i zatargi, będą gospodarzami klasy i kierownikami naszego życia szkolnego. Zaś, my wszyscy będziemy im w tej pracy pomagać.



Projekt Tadzika przyjęto z zadowoleniem. Zaraz też wybrano gospodarzy klasy: Romka, Kazika i Tadzika, którzy eenrgicznie zabrali się do pracy.

Niebawem zniknęły wszelkie nieporozumienia, bo wspólnemi siłami wiele dobrego można zrobić. T.

Mandżurja

Bardzo daleko od nas, w północno-wschodniej Azji, leży kraj prawie trzy razy większy od Polski, a zwany jest Mandżurją.

Kraj to piękny, na północy słabo sfałdowany, na południu górzysty. Ziemia urodzajna, bogata w pola uprawne ryżem i pszenicą, oraz w cenne minerały: złoto, żelazo, miedź, węgiel i glinkę porcelanową. Bogactwo kraju stanowią również olbrzymie lasy pełne dzikich zwierząt i ptaków, niedźwiedzi ,wilków, tygrysów, antylop, kóz, jeleni, bażantów, sokołów i t. d.

Na tak wielkim obszarze ziemi mieszka zaledwie około 13 miljonów ludzi: Chińczyków, Japończyków i Mandżurów.

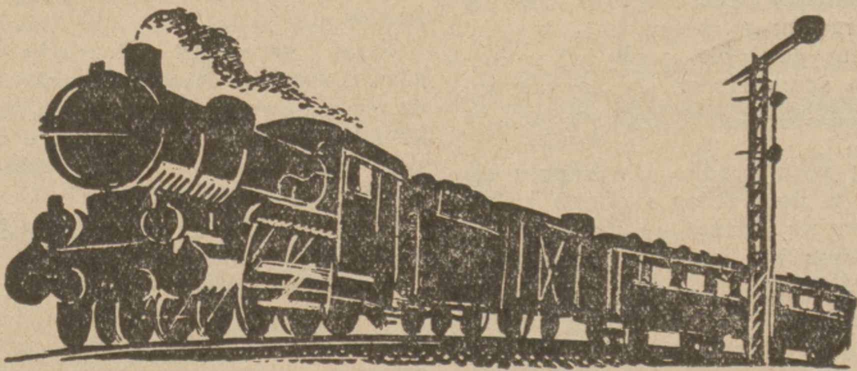
Mandżurja przechodziła różne koleje.

W dawnych, bardzo dawnych czasach, tworzyła ona samodzielne państwo, zamieszkane przez Mandżurów, ludzi prostych, mało kulturalnych, lecz pracowitych i ceniących spokój. Mandżurowie osiedlali się przeważnie nad rzekami i jeziorami, zajmowali się rybołóstwem, myślistwem i pasterstwem. Na rozległych stepach i bujnych łąkach wypasali liczne stada owiec i bydła, w rzekach znajdowali mnóstwo ryb, a w lasach przeróżną zwierzynę.

Przed wiekami Mandżurję zdobyli Chińczycy. W roku 1900 wtargnęli tu Rosjanie lecz zostali stąd wypędzeni i panami Mandżurji nadal pozostali Chińczycy.

Mandżurowie, pod wpływem Chińczyków, prawie całkowicie zatracili swą samodzielność narodową, przejęli zwyczaje i obyczaje chińskie, a nawet i język chiński. Dziś zajmują się przeważnie rolnictwem i handlem. Latem zamieszkują w kopulastych, wojłokowych namiotach, na zimę przenoszą się do t. zw. fanz, t. j. zagród, złożonych z domu o płaskim dachu, szop, chlewów i spichlerzy. W ciągu ostatnich kilkunastu lat zaczęli w Mandżurji masowo osiedlać się Japończycy, nie mając miejsca w swej przeludnionej ojczyźnie. Japończycy — naród nadzwyczaj energiczny i przedsiębiorczy — zakładali w Mandżurji fabryki, budowali koleje, prowadzili rozległy handel, bogacili się. Niechętnie patrzyli na to Chińczycy, to też bardzo często powstawały zatargi, aż wreszcie wybuchła wojna.

Wojska japońskie wkroczyły do Mandżurji, zdobyły stolicę — Mukden, a teraz zdobywają coraz to inne miasta i miasteczka. Codziennie płoną wioski i miasta mandżurskie, codziennie giną setki ludzi, coraz głośniej rozlega się płacz żółtych dzieci po stracie ojców i braci.



PANTERA

(Bajka chińska — tłm. z niem. I. Bad).

Była sobie pewnego razu wdowa, która miała dwie córki.

Na wiosnę, gdy zakwitły drzewa, powiedziała matka do córek:

— Pilnujcie dobrze domu! — Ja pójdę odwiedzić waszą babcię.

Córki obiecały uważać na wszystko, i matła poszła. W drodze spotkała ją pantera i zapytała, dokąd idziesz? Wdowa odpowiedziała:

— Idę do matki mojej i do babki moich córek.

— Możebyć chciała trochę odpocząć? — powiedziała pantera.

— Nie, już późno, a droga daleka.

Ale pantera nie ustępowała, tak, że w końcu wdowa musiała się zgodzić i usiąść na brzegu drogi.

— Uczeszę ci włosy — powiedziała pantera.

Wdowa i na to się zgodziła. Ale, gdy Pantera pazurami swojemi poczęła rozczesywać włosy, zdarła z głowy kawałek skóry i pożarła go.

— Stój — krzyknęła wdowa. — Boli mię bardzo twoje czesanie.

Ale Pantera zdarła jej jeszcze większy kawał skóry. Wtedy kobieta chciała wołać o pomoc. Pantera jednak zdławiła ją i zżarła. Potem ubrała się w suknie wdowy i poszła do jej domu, gdzie zostały córki.

— Otwórzcie córki, otwórzcie! — zawołała pukając do drzwi. — Wasza matka wróciła.

Ale córki wyjrzały przez szparkę i powiedziały:

— Nasza matka nie ma takich dużych oczu.

Pantera odpowiedziała na to:

— Byłam u babki i widziałam, jak jej kury znoszą jajka, to uradowało mię bardzo i dlatego mam teraz takie duże oczy.

— Nasza matka nie ma takich plam na twarzy!

— Babka nie miała pościeli dla mnie, musiałam więc spać na grochu, a on mi powyciskał dołki na twarzy.

— Nasza matka nie ma takich dużych stóp!

— Głupie stworzenia! Nogi mi zgrubiały od długiej drogi. Otwórzcie prędko!

Wtedy powiedziały córki jedna do drugiej:

— To chyba musi być nasza matka. — I otworzyły drzwi. Ale gdy tylko pantera weszła, zobaczyły zaraz, że to jednak nie była ich prawdziwa matka.

Wieczorem, gdy obie leżały już w łóżku, pantera spała mocno, poszeptały sobie cicho do ucha: „Musimy uciekać, to nie matka".

Wybiegły więc prędko i wdrapały się na drzewo w podwórku, a potem zawołały na fałszywą matkę: — Wyjdź tu do nas! Zobaczysz jak syn sąsiadów odprawia wesele.

Ale to była późna i bardzo ciemna noc. Fałszywa matka wyszła, a gdy zobaczyła, że córki siedzą na drzewie, krzyknęła gniewnie:

— Przecież ja nie mogę się tam wdrapać. Córki odpowiedziały:

— Siądź do kosza i rzuć nam linkę, wciągniemy cię do góry.

Fałszywa matka zrobiła, jak jej radziły, a gdy kosz był w połowie wysokości, córki poczęły kołysać go tam i sam i uderzać nim o drzewo.

Fałszywa matka musiała zamienić się znowu w panterę i, wyskoczywszy z kosza, uciekać.

Potrochu zaczęło się rozwidniać i nadszedł dzień. Córki zlazły z drzewa, siadły przed drzwiami swego domku i płakały gorzko po swojej matce. Przechodził tamtędy sprzedawca igieł i zapytał, dlaczego płaczą.

— Pantera pożarła nam matkę — odpowiedziały dziewczynki. — Uciekła teraz, ale przyjdzie pewnie znowu i nas też pożre.

Sprzedawca dał im kilka ostrych, a mocnych igieł i powiedział:

Wetknijcie je do poduszki na krześle ostrzem do góry. — Dziewczynki podziękowały i płakały znowu.

— Przechodził wtedy łapacz skorpionów, zapytał dlaczego płaczą.

— Pantera pożarła naszą matkę — powiedziały dziewczynki. — Teraz uciekła, ale przyjdzie pewnie znowu i nas także pożre.

Dał więc im skorpiona i powiedział:

— Posadźcie go w kuchni za kominem. Dziewczynki podziękowały i płakały znowu.

Teraz przechodził tamtędy handlarz jajek i zapytał, dlaczego płaczą. Opowiedziały mu swoją historję. A on dał im jajko i powiedział: — Połóżcie je w popiół pod ogniskiem. — Dziewczynki podziękowały i płakały znowu.

Przechodził teraz handlarz żółwi i jemu też opowiedziały córki swoją historję. Dał więc im żółwia i powiedział:

— Wsadźcie go do beczki z wodą w podwórzu. — Potem znów przechodził człowiek, który sprzedawał drewniane maczugi. I jemu też opowiedziały córki swoją smutną historję. I on dał im dwie maczugi i powiedział:

— Zawieście je nad bramą przy ulicy. — Dziewczynki podziękowały i zrobiły wszystko tak, jak im kazano.

Gdy nadszedł wieczór, pantera wróciła do domu. Usiadła na krześle w pokoju. Ale igły w poduszce ukłuły ją. Wybiegła więc do kuchni, bo chciała zrobić ogień i zobaczyć, co ją ukłuło. Wtedy skorpion wsadził jej żądło swoje w rękę. A gdy ogień wreszcie się rozpalił, pękło jajko i prysnęło jej w oko, tak że zaraz na to oko oślepła. Wybiegła w wielkiej złości na podwórze i zanurzyła rękę w beczkę z wodą, żeby ukoić ból. Ale żółw odgryzł jej rękę. Nieprzytomna z bólu, rzuciła się przez bramę na ulicę, ale tam dosięgły ją kije drewniane, które spadły jej na głowę i zabiły ją.

O bajce chińskiej i naszej

Tak, to szczególne i bardzo zadziwiające, jak niezwykle podobną jest ta chińska bajka do naszej o „Czerwonym kapturku", albo o „Wilku i siedmiu kózkach".

Daleko, niezmiernie daleko jest od nas do Chin, a przecież jeszcze dalej było wtedy, kiedy te bajki były już opowiadane tu i tam, za czasów naszych pra-prababek, kiedy to nie było jeszcze drukowanych książek z bajkami. Jakże więc mogło się to stać, że stare babcie u nas opowiadały historyjki tak bardzo podobne do tych, jakie w Chinach takie same stare babcie opowiadały swoim wnuczętom?

Wszystkie narody mają bajki, w których napewno można odnaleźć dużo podobieństwa do naszych. Skądże to? Przecież nie po wszystkich drogach świata mogli jeździć kupcy i żeglarze, opowiadając o tem co słyszeli i widzieli.

Bajki powstawały w pięknym okresie młodości narodów, kiedy to dobre wróżki dla wszystkich dzieci całego świata jednakowo sypały kosztowne skarby swojej fantazji, ze swego, złotego rogu obfitości.

Id. Bad.

Wróbelki



I.

Zbliża się zima...

Zimny wiatr świeszcze coraz głośniej, coraz groźniej. Mróz co rana rzeźbi na szybach prześliczne wzory, a drzewa przystraja srebrzystym szronem. Za dzień, a może nawet za chwilę, spadnie śnieg i ubieli pola i drogi, domy i drzewa.

Zima, zima idzie...

II.

A na drzewie, siedzą dwa małe wróbelki i tak żalą się:

— Ćwir, ćwir! Zimno mi.

— Ćwir, ćwir! I mnie zimno.

— Ćwir, ćwir! Tak, tak! Coraz gorzej i gorzej.

— Ćwir, ćwir. Będzie śnieg.

— Napewno będzie śnieg. O, już zaczyna padać, już lecą z nieba srebrne gwiazdki.

— Ćwir, ćwir, ćwir!

— Ćwir, ćwir, ćwir!

III.

— Ćwir, ćwir! Głodny jestem, od wczoraj nic nie jadłem. Ani jednego ziarenka, ani okruszynki chleba nigdzie znaleźć nie można. Nieznośny wiatr — jego to wina.

— I ja jestem głodny i ja nic nie jadłem.

— Chyba umrzemy z głodu

— Napewno umrzemy.

— Ćwir, ćwir, ćwir!

— Ćwir, ćwir, ćwir!

IV.

Rozmowę wróbelków podsłuchał stary wróbel. Przyfrunął bliżej i tak powiada do swych małych braciszków:

— Ćwir, ćwir! Nie obawiajcie się! Nie umrzemy z głodu. Oto tam mieszka nasz przyjaciel — mały Jasio. On codziennie sypie nam z okienka ziarenka, okruszynki chleba i kartofelki. On nie da nam zginąć z głodu.

— Ćwir, ćwir! Nie obawiajcie się! Nie zmarzniemy. Oto tam — w ogrodzie — wybudował mały Jasio dla nas domek. A w nim ciepło, a w nim miło.

— Ćwir, ćwir! Napewno nie umrzemy z głodu?

— Ćwir, ćwir! Napewno nie zmarzniemy.

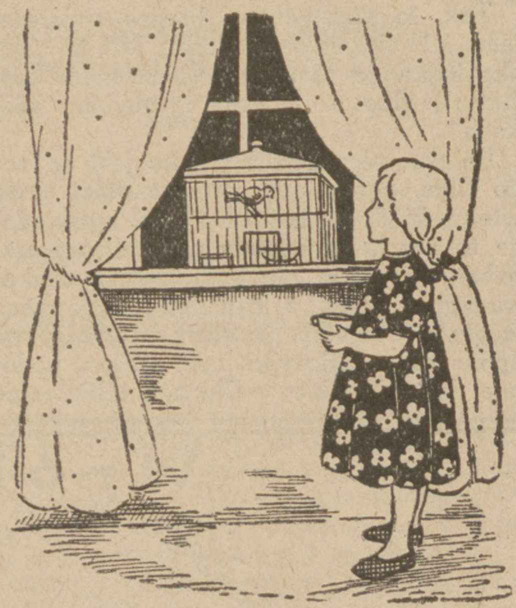
— Ćwir, ćwir! Dobry Jasio, dobry Jasio.

Ćwir, ćwir, ćwir!...

Ćwir, ćwir, ćwir!...

Ptaszek

Mała Basia
chowa ptasia
w klateczce na oknie.
Tam na dworze deszcze leją,
tu — ptasio nie zmoknie.
Tam na dworze wichry, mrozy,
tu — nie zziębnie ptaszek.
Przyjdzie wiosna — zdrów pofrunie
w ten zielony lasek
i zaśpiewa wesolutko
na białej brzezince
wszystkim swoim braciom — ptaszkom
o dobrej dziewczynce.



Smiejmy się !

NAJLEPSZE ROZSTRZYGNIĘCIE SPORU.

Przed owocarnią stoją Oleś ze Stefkiem. Chcą kupić dwie pomarańcze a nie wiedzą jak powiedzieć: „proszę dwie pomarańcze", czy też „proszę dwa pomarańcze".

Wreszcie zawołali Felka, by on rozstrzygnął spór. Felek wysłuchał obie strony, pokiwał poważnie głową i pyta:

— A macie pieniądze?

— Mamy.

— Na to kupcie trzy pomarańcze, to i dla mnie jedna będzie.

Kto odgadnie?

I.

W skrzydlatym domku przebywa
I zawsze ubielony bywa.
Nie trudna jest jego praca,
Bo wiatr skrzydła obraca.
Pilnie obaj pracują,
Mąkę na chleb szykują.

II.

W lesie urosła —
Do domu przyszła.
Z pokoju, z kuchni
Wymiata śmieci.
— Co to za pani?
Zgadnijcie dzieci.

SZARADA.

Pierwsze—drugie dwa stanowi. I w powietrzu zawsze bywa. Mocno boli **drugie — trzecie,** — O tem wszyscy dobrze wiecie. **Wszystko razem** kraj oznacza.
f.

UWAGA CZYTELNICY.

W następnym numerze „Przyjaciel" poda wynik konkursu.